

Profesor HENRYK DĄBROWSKI (1927-2006)

Pierwsza była miłość do matematyki, choć rysować lubił od zawsze. Budowanie domów z piasku na nadwiślańskiej plaży mogło pozostać tylko dziecięcą fantazją. Okazało się zawodem.

Źródła jego fascynacji architekturą trzeba szukać w Kazimierzu Dolnym. To unikatowe w skali światowej miasto, jedyne, niepowtarzalne – dzisiaj jest Mekką malarzy, grafików i architektów. Choć niemal całe życie spędził w Warszawie – szkoła, studia, praca na Politechnice – do Kazimierza, skąd pochodziła jego matka, wracał zawsze. Był zakochany w tym mieście, podobnie jak jego ojciec, także architekt, uczeń i asystent **Jana Kostrzyc-Witkiewicza**, twórcy m.in. zespołu gmachów SGH w Warszawie. Trudno się więc dziwić, że pierwsze rysunki młodego Henryka Dąbrowskiego – z natury – przedstawiały motywy Kazimierza.

Jednak to nie projektowanie przez długi czas było najważniejsze. Miał bardzo szerokie zainteresowania, a królowała wśród nich matematyka i – jak wspominał – to jej poświęcone były jego pierwsze zajęcia „dydaktyczne” – udzielał korepetycji. Musiał. Kiedy w roku 1945 jego ojciec zginął w wypadku samochodowym, utrzymanie matki i siostry spadło na jego barki. Pracował i uczył się jednocześnie.

W czasie wojny skończył Szkołę Handlową Zgromadzenia Kupców. Oficjalnie była to zawodowa szkoła handlowa, nieoficjalnie zakonspirowane liceum ogólnokształcące, w którym nauczycielami byli m.in. profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego. Zaraz po wojnie zdał maturę i rozpoczął studia na architekturze.

Matematyka się przydała. Na pierwszym roku studiów studenci architektury zdawali z niej egzamin – dla wielu była to „rzeź niewiniątek”. Jej sprawcą był prof. **Zbigniew Wasiutyński**, specjalista od budowy mostów. Henrykowi Dąbrowskiemu kazał napisać wzór na krzywiznę krzywej płaskiej. Nie pamiętał go, więc wyprowadził i... wyszedł z piątką w indeksie.

Do czego przydała mu się później znajomość królowej nauki, żartobliwie opowiadał kiedyś w rozmowie z MPW:

– *Służyła głównie do błyskawicznego przemnażania w pamięci liczby godzin przez stawkę w złotych.*

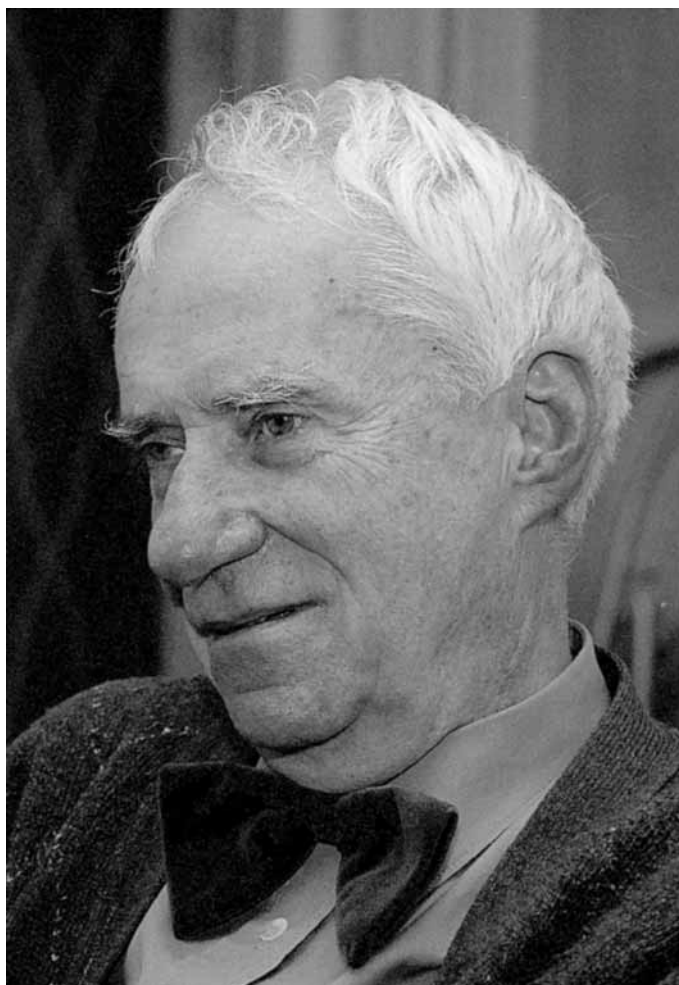
A poważnie:

– *Przede wszystkim dała mi świadomość roli, jaką spełnia w dydaktyce architektury, jak istotna jest z punktu widzenia geometrii wykreślnej i teorii perspektywy.*

Teorii perspektywy, która była tematem prowadzonego przez niego przez wiele lat seminarium.

Rysował przez całe życie. Nie tylko zawodowo, ale i dla przyjemności, którą sprawiało mu utrwalanie ołówkiem, kredką, tuszem bądź akwarelą otaczającego go piękna. Pierwszym – i jednocześnie stale obecnym – tematem jego studiów rysunkowych, graficznych i malarskich był oczywiście Kazimierz Dolny.

Te właśnie prace utorowały mu drogę do pracowni rysunku profesora **Zygmunta Kamińskiego**, w którego katedrze od pierwszego roku studiów był wyróżniającym się studentem, a na ostatnim roku został asystentem.



Do mistrzów, jak mówił, miał szczęście. W czasie studiów udało mu się zetknąć z największymi znakomitościami. Wspomnianym już Kostrzyc-Witkiewiczem, potem Zygmuntem Kamińskim, jednym ze współzałożycieli wydziału architektury, autorem naszego godła narodowego, następnie z **Lechem Niemojewskim**, **Janem Zachwatowiczem**, **Bohdanem Lachertem**, w którego pracowni uczył się projektowania. Pracował m.in. przy projektach osiedli mieszkaniowych na Muranowie, a także stołecznego metra. Tak. To nie pomyłka, już wtedy stolica miała takie ambicje, a pierwsze plany jego budowy powstały pod koniec lat czterdziestych. Niestety, na nich się skończyło.

Pierwsze samodzielne prace, przy współudziale architekta **Jana Szymańskiego**, także asystenta w Katedrze Rysunku, związane były z wystawiennictwem – pawilon na uroczystości 10-lecia PRL w roku 1954, pawilony na targi poznańskie, nagroda w konkursie na polski pawilon światowej wystawy w Brukseli.

Za najważniejsze jednak w swoim dorobku architektonicznym uważał prace w Kazimierzu Dolnym. One – jak mówił – utorowały mu drogę do profesury.

Były to – prowadzone przez kilka dziesięcioleci, przy współudziale żony, architekt **Reginy Dąbrowskiej** – studia, badania architektoniczne, projekty koncepcyjne i rea-

lizacyjne. Odbudowę kamienic przy ulicy Senatorskiej oraz spichrzy uznawał za jedno z ważniejszych swoich osiągnięć.

Nie wszystkie projekty państwa Dąbrowskich zostały zrealizowane, niektóre – np. nowego Ratusza czy też odbudowy Faktorii Angielskiej – pozostały w formie wizji projektowych i dokumentacji zatwierdzonej do realizacji.

Zajmował się także studiowaniem związków malarstwa ściennego z architekturą. Efektem tych prac badawczych był doktorat i wykłady dla studentów.

Zajmował się także rękodzięłem, o którym mówił, że jest unikatowe i dzięki temu cenniejsze. Tworzył artystyczne dyplomy.

Wszystko zaczęło się przez przypadek. Politechnikę odwiedzić miał wybitny uczyony z Holandii – **Balthazar van der Pol**. Władze uczelni chciały go jakoś uhonoroować. Tylko jak? Obraz, grafika, a może pamiątkowy dyplom? Ostatnia opcja zwyciężyła, a zadanie wykonania dyplomu powierzono Katedrze Rysunku. Prof. Dąbrowski poszedł do archiwum akt dawnych i obejrzał stare dokumenty – nie tylko akty nadania tytułów szlacheckich, obejrzał także *pacta conventa* podpisane przez **Zygmunta III** oraz nadania **Augusta II**. Były to dokumenty bardzo piękne, pisane na pergaminie, zaopatrzone w woskowe pieczęci na zwisających u dołu kolorowych sznurkach. Wykonał szkice.

Pierwszy „jego” dyplom powstał w roku 1956. Władzom uczelni tak się spodobał, że przez wiele lat wszystkie osoby, którym nadawano tytuły doktora *honoris causa*, otrzymywały tytuł nadania spisany na pergaminie, ze zwisającą u dołu woskową pieczęcią. Od roku 1956 do 2000 profesor Dąbrowski wykonał 35 takich dokumentów. Zużył na to ok. 20 metrów kwadratowych skóry cielęcej. To jednak



tylko część tego, co zrobił. Jeśli należało napisać jakiś adres gratulacyjny, np. z okazji czyjegós jubileuszu lub obchodów „iluś-lecia” jakiejś uczelni, dokument taki również był sporządzany przez niego.

Każda taka praca wymagała sporo zaangażowania, bowiem skóry cielęcej, na których ją sporządzał, wymagały obróbki. „Kąpał” je w wannie, potem pracowicie wycierał papierem ściernym wszelkie nierówności i zabrudzenia. Następnie układał na desce i przybijał po brzegach gwoź-

dzikami. Skóra, wysychając, kurczyła się, musiał więc jej doglądać. Trwało to wiele godzin. Kiedy już całkowicie wyschła, obcinał boki i na arkusz nanosił projekt.

Projekt, który poprzedzało co najmniej kilkanaście szkiców – zarówno całości, jak i poszczególnych detali. Literę pisał stalówką maczaną w atramencie. Ten zabieg wymagał niesłychanej precyzji – nie miał prawa pojawić się żaden kleks.

Potem dodawał barwne sznureczki i – jeśli dokument miał znaczenie prawne – także pieczęć. To był kolejny etap produkcji. Rozpuszczał wosk, barwił go i odbijał w nim wielką pieczęć rektorską, uprzednio posmarowana oliwą, żeby się nie przykleiła.

Spod jego ręki wychodziły prawdziwe dzieła sztuki. Mówił, że praca nad nimi daje mu olbrzymią satysfakcję.

Ubolewał czasem, że nie dokumentował swoich prac od początku. Jedynie część z nich znalazła się w tece autorskiej pt. „Studia rysunkowe i kompozycje graficzne – Politechnika Warszawska”.

Znalazły się tam także inne, związane z PW prace – m.in. portret **Stanisława Staszica**, rysunki gmachu uczelni i jego otoczenia, zarówno sprzed wojny, jak i powojenne, a także dwa herby Uczelni: stary z roku 1923 i młodszy, który stanowi jego zdecydowanie gorszą wersję, powstały pewnie za czasów realnego socjalizmu.

Architectura omnium bellarum artium domina est – zwykł mawiać profesor – czyli architektura jest panią wszystkich sztuk pięknych. Sztuką kształtowania przestrzeni, reżyserią przestrzeni, a także sztuką szeroko rozumianej scenografii. Bywa nawet – jak mówił – definiowana jako sztuka kreacji zdarzeń. Istnieje także termin – architektura krajobrazu. Dla profesora jednym ze sposobów poznania piękna przyrody były odręczne studia rysunkowe, graficzne i malarskie z natury. W tej dziedzinie miał wieloletnie doświadczenie i duże osiągnięcia w postaci prac eksponowanych na wielu wystawach – także na terenie PW. Przez wiele lat organizował dla swoich studentów i współpracowników plenery rysunkowe i malarskie na Podlasiu, w Tykocinie nad Narwią, w Supraślu i Białowieży.

Był także autorem studiów pt. „Interpretacje rysunkowe krajobrazu i przyrody Wisły w południowych dzielnicach Warszawy” oraz „Vistula Flavius”. W pracach tych jawi się jako gorący rzecznik obrony przyrody „dzikiej” Wisły oraz utworzenia w środkowym jej biegu chronionego parku krajobrazowego, eksponującego walory naturalnej przyrody.

Lubił wracać do swoich fascynacji antycznych, klasycznych, których pełno na każdym kroku we w Włoszech. Co takiego jest w tej dawnej architekturze, czego naszej brak? Dlaczego dzisiaj się tak nie buduje? Nie pracował na komputerze i czasem mówił, że z tego

powodu jest archaiczny. Uważał go za pożyteczne narzędzie pracy, choć uważał, że wszystkiego nie da się na nim zrobić. Mówił, że łatwość operowania warsztatem komputerowym powoduje – być może – że autorom wydaje się, iż maszyna robi za nich wszystko. I że pewnie dlatego, efekt końcowy jest pozbawiony ciepła i emocji, które są w dawnej architekturze.

JOANNA KOSMAŁSKA

Fot. Leszek Kosmałski

Profesor JÓZEF PIUS DZIEKOŃSKI (1844-1927)

Prof. **Józef Pius Dziekoński** urodził się 5 maja 1844 roku w Płocku. W latach sześćdziesiątych XIX wieku uczył się w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie, którą ukończył w roku 1866. Był również absolwentem Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu. Tam właśnie, w roku 1871, zdobył stopień architekta klasy III, a w roku 1902 – tytuł akademika.

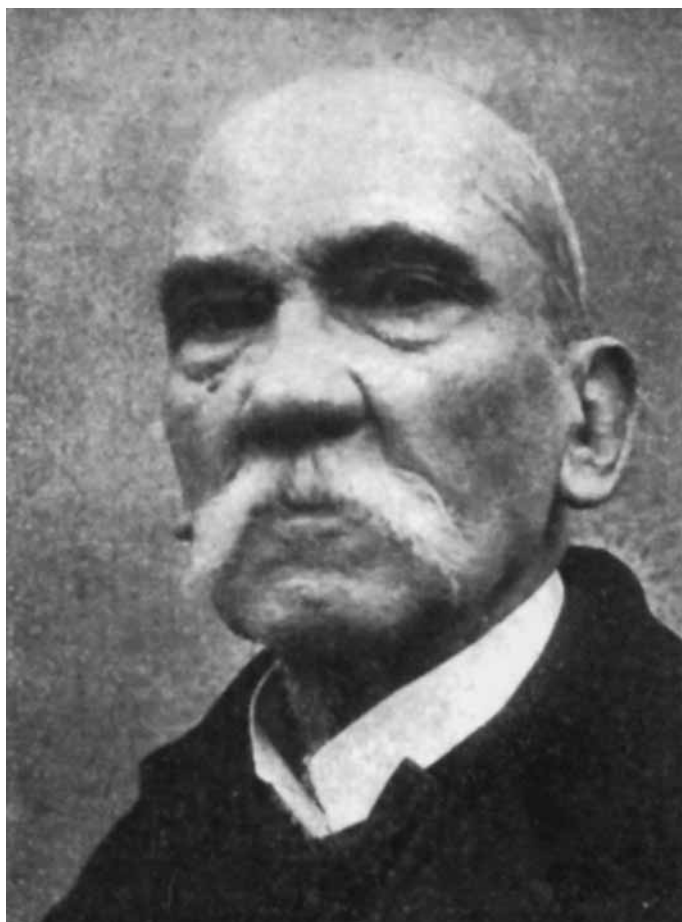
Zasłynął jako twórca architektury sakralnej. W jego dorobku można doliczyć się kilkudziesięciu projektów kościołów na terenie dzisiejszej Polski. Prężnie działał w stowarzyszeniach zajmujących się systematyzowaniem i etycznym wykorzystaniem wiedzy architektonicznej. Zasiadał między innymi w Komitecie Organizacyjnym Zarządu Stowarzyszenia Techników, które powstało w marcu 1899 roku. Obok Józefa Piusa Dziekońskiego w jego skład weszli, między innymi: **Czesław Domaniewski**, **Stefan Szyller** oraz **Władysław Marconi**. Na łamach „Przeglądu Technicznego“, obok Domaniewskiego i **Edwarda Lilpopa** brał żywy udział w rozważaniach dotyczących problemów architektury, urbanistyki i budownictwa.

Na przełomie wieków XIX i XX Józef Pius Dziekoński występował w składach sędziowskich w pierwszych dziesięciu konkursach architektonicznych ogłaszanych na terenie Kongresówki. Organizowała je Delegacja Architektoniczna. Ponieważ podczas konkursów pojawiały się konflikty pomiędzy projektantami, Dziekoński wspólnie z Domaniewskim opublikowali wielką pracę zatytułowaną „Prawidła konkursów architektonicznych“. Stworzyli w ten sposób podwaliny pod późniejsze regulaminy takich konkursów. Oprócz tego zawarli w pracy informacje o konieczności przestrzegania zasad etyki zawodu architekta.

Po zamknięciu Politechniki Warszawskiej w wyniku strajku szkolnego w roku 1905, Stowarzyszenie Techników postanowiło uruchomić cykl wykładów, które odbywały się w warszawskich szkołach. Józef Pius Dziekoński prowadził zajęcia z kompozycji architektonicznej i historii architektury średniowiecza.

Uczestniczył w legalnych działaniach, mających na celu sfornowanie grupy polskich architektów z trzech zaborów, którzy mogliby reprezentować za granicą formalnie nieistniejący kraj. W roku 1911 przystąpił do tworzenia stanowiska polskiego na IX Kongresie Architektonicznym w Rzymie. Działania te miały pewną szansę powodzenia, ponieważ w wyniku licznych zabiegów prof. Dziekoński został wyznaczony jako jedyny przedstawiciel Polski w grupie rosyjskich architektów działających w Stałym Komitecie organizacyjnym w Paryżu. Niestety, nie zakończyły się one sukcesem, ponieważ – według oficjalnych przepisów – grupy narodowościowe nie mogły być wystawcami na rzymskim kongresie.

Jako architekt widział potrzebę ochrony zabytkowych budowli. W latach 1900–1904 odrestaurował kościół św. Anny w Wilnie. Świątynia otrzymała nowe sklepienia oraz neogotycki konfesonął i ambonę. W roku 1915 został przewodniczącym – utworzonego w roku 1906 – Komitetu Konserwatorskiego Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości. W tym samym roku wszedł w skład komisji, która miała opracować program wyższego kształcenia architektonicznego. Założenia te przydały się już 15 listopada, kiedy to ponownie otwarto Politechnikę Warszawską i utworzono Wydział Architektury. Mianowany pro-



fesorem przez generała-gubernatora **Hansa Hartwiga von Beserela**, stał się jego pierwszym dziekanem. Poza pełnieniem funkcji kierowniczej wykladał architekturę średniowiecza. Radę Wydziałową tworzyli wszyscy wykładowcy, którzy cyklicznie spotykali się i omawiali wszelkie sprawy związane z działaniem nowo powstałego wydziału. Warto przypomnieć, że był to drugi wydział architektury na ziemiach polskich. Pierwszy stworzono na Politechnice Lwowskiej, której Dziekoński był doktorem *honoris causa*. Profesor zamieszkał na Starym Mieście w domu przy Kanonii 28.

W swoich pracach włączył się w nurt historyzmu. Styl ten przeciwstawiał się klasycyzmowi i stworzył nawiązania do architektury minionych epok. To właśnie na przełomie wieków XIX i XX powstawały budowle poprzedzone przedrostkiem „neo“, czyli „nowy“: neobarok, neorenesans lub neogotyck. Tak też wyglądały projekty Dziekońskiego. Można wśród nich wymienić najbardziej znane, takie jak kościół pw. Najświętszego Zbawiciela na placu o tej samej nazwie, który powstał w roku 1901 na miejscu rozebranej Czerwonej Karczmy. Projekt łączący elementy neobarokowe i neorenesansowe opracował Józef Pius Dziekoński razem ze swoimi uczniami: **Ludwikiem Panczakiewiczem** i **Władysławem Żychiewiczem**. Konkurs wygrał Stefan Szyller, lecz projekt okazał się zbyt drogi, dlatego do realizacji wybrano zdobywcę II miejsca – Dziekońskiego.

Za największe osiągnięcie architektoniczne profesora uznaje się kościół pw. św. Michała i Floriana na Pradze, przy placu We-

➔ teranów 1863 roku, wzniesiony na miejscu pozostałości ziemnych fortyfikacji z czasów napoleońskich. Nawet dla laika na pierwszy rzut oka widoczne są nawiązania do gotyckich ceglanych świątyń. Tę realizację sam autor określał jako wykonaną w stylu wiślano-bałtyckim i taka nazwa przeszła do historii architektury. Projekt ten opisano w pierwszym numerze miesięcznika „Architekt” w kwietniu 1900 roku.

Pierwszy dziekan Wydziału Architektury, w roku 1886 zaprojektował – w stylu neorenesansowym – rozbudowę kościoła pw. św. Aleksandra na Placu Trzech Krzyży. Do budowli na planie krzyża greckiego dodał dwie wieże, które wysmukliły bryłę budynku. Po zniszczeniach wojennych, po roku 1945, odbudowano go w kształcie z pierwszej połowy XIX wieku, według pierwotnego projektu **Christiana Piotra Aignera**.

Do innych znanych realizacji Dziekońskiego należy kościół św. Stanisława Biskupa Męczennika na warszawskiej Woli, zbudowany w roku 1898 w stylu nawiązującym do gotyku nadwiślańskiego. W tym samym stylu profesor zaprojektował bazylikę mniejszą Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Białymstoku. Zbudowano ją w latach 1900–1905. Jest to kolejny przykład „legalnej” walki z rosyjskimi zaborcami. Wierni do-



stali pozwolenie tylko na rozbudowę istniejącego kościoła. Budowla, która powstała jako przybudówka, rozrosła się do rozmiarów wielkiej świątyni.

Projekt kościoła pw. Świętej Rodziny w Zakopanem również stworzył Dziekoński. Zbudowano go w latach 1879–1896 w stylu neoromańskim. Jest to najstarszy murowany kościół w tym mieście.

Spośród imponującej listy dokonań profesor można wymienić też kościół farny pw. Matki Bożej Pocieszenia w Żyrardowie,

który powstał w latach 1900–1903, w stylu neogotyckim. Jest to ośmiokrotnie pomniejszony model katedry kolońskiej.

Do prac Dziekońskiego należy również odbudowa wieży kościoła na Jasnej Górze. W roku 1900 drewnianą budowlę strawił pożar. Przeor klasztoru jasnogórskiego zlecił zaprojektowanie nowej dwu architektom: Dziekońskiemu i Szyllerowi. Stworzyli konstrukcję wyższą od poprzedniej i murowaną w miejsce drewnianej. Kosztorys prac wyniósł 157 tysięcy rubli.

Obok budowli sakralnych, Dziekoński realizował projekty użyteczności publicznej. Wśród nich można wymienić większe fragmenty szpitala im. Dzieciątka Jezus. Przebudowany dzisiaj budynek administracyjny, stojący od strony ulicy Lindleya, zawiera w sobie elementy założeń opracowanych przez profesora. Stworzył on także zakład dla chłopców przy ulicy Lipowej, schronisko dla paralityków przy Belwederskiej oraz kamienice: Szlenkierów przy placu Zielonym, Wawelberga przy ulicy Fredry, Karola Scheiblera przy Trębackiej 4 (razem z Edwardem Lilpopem), a także dom przy ulicy Szpitalnej 5. Trudno dzisiaj doszukać się w nim elementów architektonicznych właściwych dla twórczości Dziekońskiego – podwyższono go z trzech do pięciu pięter, a po II wojnie światowej skuto detale elewacji.

Profesor Dziekoński był autorem wielu projektów w podwarszawskim uzdrowisku – Konstancinie.

Zaprojektował tamtejszą willę „Eugenia” – obecnie „Natemi” – przy ulicy Sienkiewicza 7. Budynek w stylu neoklasycystycznym, za sprawą malarza **Franciszka Eismonda**, stanowił centrum życia artystycznego podczas I wojny światowej. Dziekońskiemu przypisuje się też willę – „Maryla”, przy ulicy Sienkiewicza 19. Zbudowana około roku 1900, przyciąga wzrok bogactwem detali: zdobionymi balustradami oraz majestatyczną wieżą. Niestety, dziś to niemal ruina. Przy Mickiewicza 1 można obejrzeć willę „Leonówka” – dziś „Sosnówka” – zbudowaną w stylu szwajcarskim i ozdobioną niezliczonymi detalami. Również z przełomu wieków pochodził drewniany budynek stacji kolejki wilanowskiej. Znajdował się naprzeciw konstancińskich łąk. W okresie międzywojennym sprawiał ponoć sielankowe wrażenie. Opleciony winoroślami wyglądał jak przytulna ogrodowa altana. Przy Piłsudskiego 21 stoi neorenesansowa willa „Pod łabędziem” – obecnie „Pod dębem” – wzniesiona w roku 1902 lub 1911 dla hrabiny Dąbskiej.

W parku zdrojowym, jeszcze w latach 60. minionego wieku można było zobaczyć drewniany budynek kasyna, jednej z reprezentacyjnych budowli uzdrowskich, wzniesiony w roku 1899. Mieściły się w nim hotel, restauracja i dancing.

Profesor Dziekoński był współautorem (z **Władysławem Marconim**) projektu cokołu pomnika **Adama Mickiewicza**, który odsłonięto w roku 1898, w setną rocznicę urodzin wieszca. Podczas jego budowy, po raz kolejny, jak w przypadku białostockiego kościoła, projektanci wykazali się sprytem. Otóż, zgodnie z zastrzeżeniem władz carskich, pomnik Mickiewicza nie mógł być większy niż stojący w Warszawie pomnik cara Aleksandra. Sama statua ma faktycznie mniejsze wymiary, ale wysokość cokołu spowodowała, że całość była większa. Uczniami Józefa Piusa Dziekońskiego byli między innymi: **Zdzisław Mączyński**, **Apoloniusz Nieniewski** i **Ludwik Panczakiewicz**.

Wybitny architekt i pierwszy dziekan Wydziału Architektury zmarł 4 lutego 1927 w Warszawie.

MICHAŁ LEŚNIEWSKI

Fot. z W. Piłatowski „Profesorowie PW w dwudziestolecu międzywojennym”, OWPW, W-wa, 1999 oraz Michał Leśniewski

KRYSPIN PUCICKI (1937-2002)

Był idealistą – mówi o nim żona – duszą towarzystwa. Człowiekiem powszechnie lubianym, któremu klub studencki „Stodoła” wiele zawdzięcza – dodają przyjaciele.

Studia na Politechnice rozpoczął w roku 1959, na ówczesnym Wydziale Lotniczym. Tam też poznał go **Jerzy Bojanowski**.

– *Od razu się zaprzyjaźniliśmy. Kryspina nie można było nie lubić. Był wesoły, lubił żartować ze wszystkiego, co nas otaczało, także z ludzi. Jego żarty bywały czasem nawet złośliwe, ale nikt się na niego nigdy nie obrażał. Wszyscy go bardzo lubili. Był duszą każdego towarzystwa, w którym się znalazł. Był niewątpliwie moim przyjacielem, a tych niewielu ma się w życiu.*

Kryspin Pucicki studiował z przerwami, bowiem przez cały okres nauki sam się utrzymywał, a studia dzienne kolidowały z pracą. Pod dwu latach przerwał je więc, aby wznowić w roku 1963 – tym razem na Wydziale Mechanicznym. Te studia także zmuszony był przerwać, jednak kontaktu z Politechniką nie zerwał. Został zatrudniony na Wydziale Geodezji i Kartografii jako laborant. Kryspin Pucicki był bardzo aktywnym działaczem Zrzeszenia Studentów Polskich. Gdy studiował na Wydziale Lotniczym, był wiceprzewodniczącym RW ZSP, a potem sekretarzem Komisji Kultury Rady Okręgowej ZSP. Ostatecznie, w roku 1976, uzyskał dyplom ukończenia Wydziału Samochodów i Maszyn Roboczych PW, nigdy jednak w wyuczonym zawodzie nie pracował.

– *Był świetnym matematykiem. Zastąpił z tego już w szkole średniej, na studiach też sobie świetnie radził, ale nie poszedł w kierunku naukowym, bardziej go interesowały sprawy organizacyjne związane z działalnością studencką, zwłaszcza dotyczącą kultury. Poświęcił temu zagadnieniu wiele lat – mówi Jerzy Bojanowski*

Niewątpliwie długi okres studiowania był także efektem ubocznym jego działalności, powiedzmy... „rozrywkowej”. Ale jaka to była rozrywka! Nie on jeden zresztą studiował – z tego powodu – dłużej, niż by wypadało. Bowiem nie samą nauką i pracą żyli wówczas studenci Politechniki, a miejscem przez wielu nazywanym dzisiaj – i słusznie – kultowym był klub studencki „Stodoła”. Tuaj więc, początkowo jako bywalec zaledwie, trafił i Kryspin Pucicki. Trafił i... wsiąkł na dobre. Nie bez sugestii i zachęty ze strony Jerzego Bojanowskiego, który przez pewien czas, w drugiej siedzibie „Stodoły” przy Trębackiej, był jej prezesem.

– *Zasugerowałam Kryspinowi, by został inspicjentem w kabarecie, a on chętnie się tej roli podjął. Pamiętam, że w jednym przedstawieniu nawet występował jako statysta – przebrany w trykot przebiegał po scenie. Potem był coraz bardziej w klubie aktywny i długie lata się w nim udzielał. Wiele osób związanych ze „Stodołą”, a szczególnie z kabaretem, miało przezwiska. Kryspin także. Nazywaliśmy go żartobliwie – przedstawiając sylaby – Cipucki.*

W tym także czasie – na obozie zorganizowanym, w roku 1964 w Złotowie, przez „Hybrydy” i „Stodołę”, poznał swoją przyszłą żonę – Teresę.

– *Był świetnym organizatorem, lubił porządek. Precyzyjnie określał, co, gdzie i kiedy. Podobnie zresztą zachowywał się*



w życiu prywatnym. Kiedy mieliśmy gdzieś wyjechać, ustalał, o której mamy wstać, dokąd pójść, wytyczał trasy do pokonania. Podobnie zresztą było w domu – wszystko musiało być zgodnie z wcześniej opracowanym planem – wspomina Teresa Pucicka.

Nie zawsze jednak jej się to podobało, więc – jak mówi – czasem dawała mu nieźle „popalić”...

– *On żył „Stodołą”, spędzał tam mnóstwo czasu, a ja miałam na głowie dom, dzieci i pracę. Bywały więc między nami konflikty. Kiedy jednak dostałam dobrą pracę w firmie polonijnej, dużo mniej czasu miałam „na dom”. Kryspin musiał więc częściej zajmować się dziećmi. Świetnie sobie z tym radził, doskonale łączył pracę w klubie i zajęcia w domu. Był spokojny i opanowany. No, może trochę gorzej było z tym spokojem, kiedy tłumaczył im matematykę... Starał się poświęcać dzieciom sporo czasu – zarówno jemu, jak i im sprawiało to dużą frajdę. A w ogóle to on był idealistą i kultura studencka była dla niego naprawdę ważna. Uważał, że młodzi ludzie muszą mieć miejsce, gdzie mogliby rozwijać różne swoje zainteresowania. „Stodoła” im to umożliwiała. W tamtych czasach wiele się tam działo – kółko fotograficzne, taneczne, piątki jazzowe, kabaret. Zresztą było to miejsce niezwykle, zawiązywały się tam przyjaźnie na lata. Z kilkoma poznanyimi wtedy osobami utrzymujemy przyjacielskie kontakty do dziś.*

Jedną z tych osób jest dr **Antoni Rakoczy** z Wydziału Inżynierii Produkcji.

– W „Stodołę” zacząłem bywać pod koniec lat 60. Tam poznałem Kryspina, który był wówczas kierownikiem programowym. Potem został prezesem. W pewnym momencie zaproponował mi, abym objął stanowisko kierownika administracyjnego. Był bardzo zaangażowany w to, co się działo w klubie. To dzięki niemu tak bardzo rozwinął się kabaret, który – moim zdaniem – chyba najlepszy był właśnie wtedy. Takie przedstawienia, jak „O, jak mi dobrze w pomarańczowym jest” przeszły do legendy.

Z klubem Kryspin Pucicki był związany przez kilka lat. To on przeprowadzał go do nowej siedziby na Batorego, gdzie istnieje do dziś. Antoni Rakoczy uważa, że w przeprowadzce do nowego gmachu największe zasługi ma Kryspin Pucicki, który – wiedząc, że klub musi opuścić należący do wojska budynek przy Nowowiejskiej – bardzo się starał o nową lokalizację.

– *Dokonał tego, co właściwie wydawało się niemożliwe. Doprowadził do zbudowania nowej siedziby na Batorego* – mówi Jerzy Bojanowski.

– *Podczas budowy, w której „stodolarze” także brali czynny udział, był nieustannie obecny i wszystkiego osobiście doglądał* – dodaje Antoni Rakoczy.

Historia o tym, jak podczas jednego z pochodów pierwszomajowych „stodolarze” wołali: „Gierek, Gierek dziś „Stodoła” o siedzibę nową woła” – jest znana, ale mniej znane jest inne hasło skandowane przez bywalców klubu, także na jednym z pochodów.

– *1 maja to nie było dla bywalców klubu święto PRL-owskie, to było nasze święto* – wspomina Teresa Pucicka. – *Spotykaliśmy się, by wspólnie się pobawić, a po pochodzie wypić, stawaną tradycyjnie przez prezesa, beczkę piwa. Otóż 1 maja*



1969 roku rano Kryspin odwiózł mnie do szpitala położniczego i poszedł na pochód. Jak się potem dowiedziałam, nasi przyjaciele w czasie marszu wołali: „Chcemy syna dla Kryspina”. Urodziła się... **Małgosia**. Potem łóżko, na którym leżałam, zostało obstawione kwiatami od „stodolarzy”. Syn, **Michał**, urodził się trzy lata później.

Pamiętam też – wspomina dalej pani Teresa – że kiedy w sprzedaży ukazały się pierwsze kolorowe telewizory, akurat wzięłam kredyt na remont mieszkania. Ze świeżo otrzymaną gotówką wróciłam do domu. Był tam – oprócz Kryspina – nasz przyjaciel Boguś. Pochwalłam się wachlarzem pieniędzy – wyłożyłam je na stół. Panowie spojrzeli po sobie, wzięli pieni-

dze i wyszli. *Po niedługim czasie wrócili taszcząc... kolorowy, radziecki telewizor. Ja zachwycona nie byłam, ale oni tak, bo nareszcie mecze mogli oglądać w kolorze. Pomalować mieszkanie jednak też musieli...*

W roku 1971, za działalność – jak to się oficjalnie mówi – „na polu kultury”, Kryspin Pucicki otrzymał Odznaczenie Zasłużonego Działacza Kultury. Kto jak kto, ale on z pewnością „na zasłużonego zasłużył”.

Ze wszystkiego się jednak wyrasta, a więc w pewnym momencie, w roku 1979, także Kryspin Pucicki „wyrósł” ze Stodoły i odszedł, by zająć się zdecydowanie mniej rozrywkową działalnością. Poszedł do telewizji, gdzie przez kilka lat był głównym specjalistą do spraw inwestycji. Potem pracował także, jako główny specjalista do spraw rozwoju i inwestycji, w firmie „Interster”. Przez kilka lat był także współnikiem w prywatnej firmie, a ostatnie lata przepracował w „Polkomtelu”. Był już chory, kiedy chodził na kurs wyceny nieruchomości – ukończył go w roku 2001. Niestety, pomimo wielkiego hartu ducha i olbrzymiej chęci życia, przegrał z chorobą...

„Stodoła”, jak twierdzą wszyscy, którzy go znali, nie była jego jedyną pasją.

– *Kochał piesze wędrówki. Razem chodziliśmy po górach* – wspomina Jerzy Bojanowski. – *W czasach studenckich braliśmy udział w rajdach świętokrzyskich, potem ja miałem sporą w tych wędrówkach przerwę, ale w ostatnich latach – jako „staruszkowie” – też łaziliśmy po górach. Kryspin systematycznie jeździł na nartach, w czym mu, zwłaszcza ostatnio, już nie towarzyszyłem.*

Teresa Pucicka wspomina, że przez wiele lat, prawie do końca, wyjeżdżał na urlop w góry wyłącznie w męskim gronie.

– *Świetnie się tam chłopcy bez nas bawili* – mówi pokazując liczne, dokumentujące te wyprawy zdjęcia. – *Nie, nie miałam mu za złe, że wyjeżdża beze mnie.*

A „Stodoła”? Jak się okazuje, nie „wyrósł” z niej całkowicie, bowiem był jednym z inicjatorów powstania klubu tzw. starej „Stodoły”, którego członkowie, dawni bywalczy, prezesi, działacze systematycznie się spotykają. Tego „klubu w klubie” także był przez pewien czas prezesem.

Jaki był Kryspin Pucicki? Jakim pozostał w pamięci bliższych mu osób?

– *Bardzo wrażliwy, raczej skryty, ale fantastyczny człowiek, bardzo delikatny, czuły, świetny mąż. Pamiętał o każdej najdrobniejszej rocznicy, przynosił kwiaty. Był bardzo dobrym partnerem życiowym, wspierałm ojcem, przyjacielem* – mówi pani Teresa.

Towarzyski, pogodny, lubiany przez wszystkich, w każdym środowisku, w jakim się znalazł – wspominają przyjaciele. Na jego pogrzebie grała orkiestra dixielandowa. Muzykę jazzową bardzo lubił.

– *Jeśli można – z uwagi na okoliczności – tak powiedzieć, był to bardzo udany koncert* – wspomina Jerzy Bojanowski. – *Zespół został stworzony spontanicznie, z muzyków, którzy go znali z czasów „Stodoły”. Grał m.in. niezjący już także Henryk Majewski, świetny trębacz jazzowy. W ten sposób chcieliśmy go pożegnać, podobnie jak wcześniej innych, byłych prezesów klubu.*

Od „Stodoły” zaczęło się zawodowe – choć chyba tak o nim nie myślał – życie Kryspina Pucickiego i „stodolarze” towarzyszyli mu w ostatniej drodze.

JOANNA KOSMAŁSKA
Fot. z arch. rodzinnego

Profesor **TADEUSZ TRAJDOS** (1922-2002)

– Pamiętam, jak w dniu inauguracji pierwszego roku moich studiów na Wydziale Łączności, w roku 1957, na spotkaniu z władzami dziekańskimi zabrał głos nasz prodziekan do spraw studenckich, matematyk, ówczesny docent, **Tadeusz Wróbel** (takie nazwisko nosił profesor do roku 1958 – przyp. red.). Od razu nam się spodobał ten kulturalny i dowcipny człowiek – wspomina dr **Bogdan Galiński** z Wydziału EITl, były student profesora. – Powiódł oczami po sali i spytał: „Czy jest może Kowalski?”. Wstał jeden student. „A może dwóch?” – kontynuował profesor. – „Wierzę, że na tej sali znajduje się przynajmniej jedna osoba wybitna”. Potem zachęcił nas do systematycznej nauki słowami: „Nie ma ratunku dla studenta, który się przez dwa tygodnie uczył nie będzie!”. Zilustrował to takim oto przykładem: „Przychodzi do mnie na egzamin jeden z moich najzdolniejszych studentów, do tego syn prorektora. Zadaję mu pierwsze pytanie – nie umie, drugie pytanie – też nie umie. Po trzecim pytaniu musiałem postawić mu dwóję! A jeśli ktoś z was powie mi na egzaminie, że są dwie alternatywy...”.

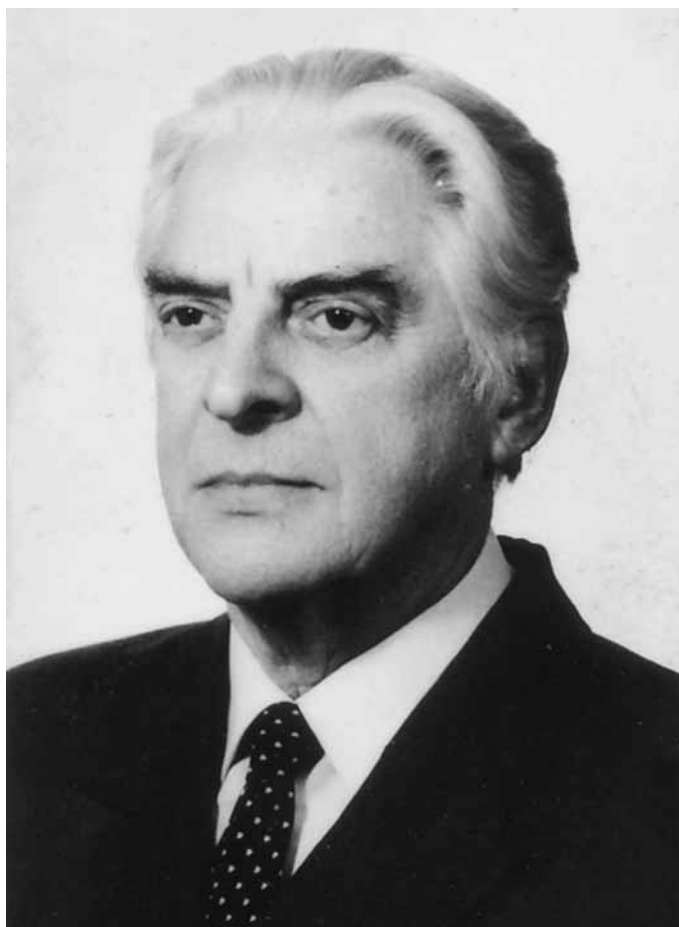
Tadeusz Trajdos urodził się 16 lutego 1922 r. w Piotrkowie Trybunalskim. Był synem **Henryka Wróbla**, notariusza, doktora prawa i **Marii z Trajdosów**. W roku 1923 zamieszkał w Warszawie, gdzie uczęszczał do Gimnazjum i Liceum im. Ks. J. Poniatowskiego. Działał aktywnie w harcerstwie, był też prezesem Sodalicii Mariańskiej, a od roku 1937 członkiem Grupy Młodzieży Wszepolskiej Stronnictwa Narodowego. W roku 1939 zdał maturę. Warto wspomnieć, że aż 13 kolegów z jego klasy maturalnej zostało profesorami.

Jako ochotnik wziął udział w kampanii wrześniowej. Wraz z kolegami szkolnymi i harcerzami utworzył grupę paramilitarną obserwującą ruchy wojsk niemieckich. W październiku 1939 wstąpił do Narodowej Organizacji Wojskowej – NOW; inicjatorem jej powstania był jego stryj dr **Mieczysław Trajdos**.

Od stycznia 1940 roku pracował w Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych. W roku 1942 ukończył konspiracyjną szkołę podoficerską i został instruktorem politycznym i drużynowym w kompanii „Aniela”, batalionu „Antoni” NOW, włączonego, w roku 1942, do Armii Krajowej. Rok później ożenił się z **Ewą Polak**. Mieli jednego, urodzonego już po wojnie, syna **Tadeusza**. W latach 1943/44 przeszedł dodatkowe szkolenie w zakresie łączności w kompanii K-4 batalionu „Baszta”, później uczył się w szkole podchorążych.

Równolegle studiował w Wyższej Szkole Budowy Maszyn i Elektrotechniki Wawelberga – po wojnie nadano mu tytuł inżyniera-elektryka – oraz na tajnych kursach Politechniki Warszawskiej.

Jako kapral podchorąży walczył w Powstaniu Warszawskim w 4. kompanii batalionu im. S. Czarnieckiego zgrupowania „Sosna-Gozdawa”. Dowodził barykadami na ul. Miodowej i na Bonifraterskiej. Brał udział w walce o ul. Stawki i Wytwornię Papierów Wartościowych. Po upadku Starego Miasta walczył na Żoliborzu, Marymoncie i Burakowie. Po upadku powstania, z obozu przejściowego w Pruszkowie, został wywieziony pod Słomniki i do stycznia 1945 roku brał udział w tajnym nauczaniu, jako nauczyciel matematyki i fi-



zyki. Po rozwiązaniu AK został zdemobilizowany w stopniu podporucznika. Nawiązał wówczas w Krakowie łączność ze swoim dowódcą z NOW i po zaprzysiężeniu, jako jego adiutant, pełnił służbę w Narodowym Zjednoczeniu Wojskowym do stycznia 1947 roku.

Od stycznia 1945 studiował początkowo na Politechnice Śląskiej, z tymczasową siedzibą w Krakowie, a następnie na Wydziałach Politechnicznych Akademii Górniczo-Hutniczej, którą ukończył z wyróżnieniem w roku 1946 uzyskując tytuł magistra-inżyniera. W roku 1946 ukończył też Uniwersytet Jagielloński z tytułem magistra matematyki, a cztery lata później zrobił tam doktorat, będąc w tym czasie – kolejno – asystentem, a następnie adiunktem na Politechnice Krakowskiej.

Kiedy w roku 1950 złożył podanie o zatrudnienie w Katedrze Matematyki Politechniki Warszawskiej, ówczesny jej kierownik, profesor **Witold Pogorzelski**, w swej opinii napisał:

Magister inżynier Wróbel Tadeusz wyróżnia się zdolnościami matematycznymi i łączy w sobie jednocześnie wiedzę techniczną i matematyczną, posiada stopień magistra nauk technicznych i magistra matematyki. Nadto w niedługim czasie składa egzamin doktorski z matematyki. Pracując jako adiunkt przy Katedrze Matematyki w Akademii Górniczej wykazał duże zdolności dydaktyczne. Powyższe walory rokują jak najlepsze wyniki w jego pracy jako przyszłego adiunkta przy Katedrze Matematyki.

➔ Podjął pracę jako adiunkt w Katedrze Matematyki Stosowanej Wydziału Elektrycznego Politechniki Warszawskiej, obsługującej pod względem dydaktycznym również Wydział Łączności. Po habilitacji, w roku 1954, został kierownikiem Katedry. Jednocześnie w latach 1951–62 był profesorem Wojskowej Akademii Technicznej, a w okresie od roku 1952 do 1962 prodziekanem Wydziału Łączności (obecnie WEiTI). W roku 1957 zainicjował wydawanie Zeszytów Naukowych Matematyki PW. W roku 1969 otrzymał tytuł profesora. Był jednym z inicjatorów powstania, w roku 1970, Instytutu Matematyki Politechniki Warszawskiej.

W roku 1962 został mianowany kierownikiem Katedry Geometrii Różniczkowej na Wydziale Geodezji PW. Funkcję tę pełnił do roku 1978, kiedy – po przejściu na rentę – zamieszkał na stałe w Częstochowie. Nie oznaczało to jednak końca pracy. Został dyrektorem Instytutu Matematyki Politechniki Częstochowskiej. Pełnił tę funkcję do czasu przejścia na emeryturę w roku 1991. I to jednak nie był kres jego pracy – do ostatnich chwil pracował jako profesor matematyki w Wyższej Szkole Języków Obcych i Ekonomii w Częstochowie. Był także prezesem oddziału częstochowskiego Polskiego Towarzystwa Matematycznego. W roku 1986 ożenił się powtórnie z **Anną Danutą Bogusławską**.

Profesor Trajdos należał do nielicznych matematyków w Polsce zajmujących się nowoczesną geometrią różniczkową, a także teorią równań całkowych. Był też specjalistą w dziedzinie rachunku tensorowego. Wypromował wielu doktorów. Kilku jego wychowanków uzyskało stopień doktora habilitowanego, a kilkunastu tytuł profesora. Był autorem około 100 publikacji naukowych oraz 10 książek i skryptów.



W roku 1965 otrzymał nagrodę główną Towarzystwa Wydawców Książek za najlepszą książkę matematyczno-przyrodniczą „Matematyka dla inżynierów”, a w roku 1994 zespołową nagrodę główną Atena '94 za najlepszą książkę naukową pt. „Matematyka”. Ponadto przetłumaczył z języka francuskiego i rosyjskiego kilkanaście książek matematycznych.

Długa jest lista odznaczeń profesora: Krzyż Kawalerski i Krzyż Oficerski OOP, Medal Komisji Edukacji Narodowej, Medal Wojska (4-krotnie), Warszawski Krzyż Powstańczy, odznaka pamiątkowa „Akcji Burza” oraz tytuł honorowy „za służony Nauczyciel PRL”. W roku 1985 zrezygnował z człon-

kostwa w ZBOWiD, gdy się dowiedział, że na Politechnice Warszawskiej kierownikiem komórki weryfikacyjnej jest były oficer Służby Bezpieczeństwa.

Najbardziej jednak zasłynął jako wybitny dydaktyk.

– *Wykłady i inne, prowadzone przez niego z wielkim zamiłowaniem, zajęcia cieszyły się popularnością wśród słuchaczy – wspomina dr Bogdan Galiński. – Pełniąc przez szereg lat obowiązki prodziekana i opiekuna studentów, zaskarbił sobie ich zaufanie, szacunek i uznanie. Tego zaufania potrafił, jak niewielu innych, nie zawieść nawet w chwilach najtrudniejszych, gdy cena odwagi i prawości była wysoka. Oto, gdy w dniu śmierci Stalina, na salę wykładową pełną słuchaczy wpadł spóźniony student wołając: „Chłopaki! Tyran zdechł!” – decyzja ówczesnego rektora PW była jednoznaczna: relegowanie z uczelni z wilczym biletem! Profesor Trajdos, jako dziekan, został „poproszony” o akceptację tej decyzji. Odpowiedź profesora była natychmiastowa: „Panie rektorze, ja proponuję tylko nagane, lecz jeśli pan zdecyduje się na relegowanie studenta, to ja zrezygnuję z pracy na Politechnice Warszawskiej”. Rektor udzielił studentowi tylko nagany.*

Łatwo nawiązywał kontakt ze studentami, których ujmował – między innymi – dużym poczuciem humoru.

– *Kiedyś, przy okazji definiowania wektora normalnego do powierzchni zamkniętej – wspomina dr Galiński – powiedział: „Wykładam na WAT, a tam wielu studentów – starszych oficerów – jest tysiąc. Można więc powiedzieć, że są oni tak „wewnętrznie najeżeni”, a więc ich wektor normalny jest do wewnątrz skierowany – w odróżnieniu od ludzi uczesanych na jeża”. Gdy sala wybuchnęła długim śmiechem, zapowiedział: „Śmiech matematyczny musi być krótki, inaczej nie będę już opowiadał dalszych dowcipów”. Ulubioną liczbą profesora było 127, podawane zawsze jako przykład dowolnej liczby naturalnej. Liczba ta jest, jak wiadomo, związana z przeliczeniem gwintu całowego na metryczny, a więc na wykładzie z Technologii Mechanicznej, gdy tylko pan profesor **Stefan Okoniewski** powiedział, że odpowiednie koło zębate ma 127 zębów – sala w śmiech. „Dlaczego państwo się śmieją?” – spytał profesor. Bo to jest liczba profesora Trajdosa” – odpowiedzieli studenci. W następnym roku nikt się jednak nie zaśmiał. „Dlaczego się nie śmiejecie?” – zapytał profesor. „Bo nam matematykę wyklada w tym roku profesor Jerzy Osowski” – padła odpowiedź.*

Profesor Trajdos odwiedził nas w roku 1985 w Wildze, na spotkaniu absolwentów Wydziału Łączności naszego rocznika. Było to świadectwem jego wielkiego przywiązania do studentów. Profesor Tadeusz Trajdos był człowiekiem niezwykle prawym, o bardzo wysokim poziomie moralnym. Cechowała go zawsze bezwzględna uczciwość w postępowaniu i postawa prawdziwie obywatelska nakierowana na wartości i dobro wspólne – wspomina dalej dr Galiński. – *Ostatni raz odwiedziłem profesora w Częstochowie w lipcu 2002 roku, na dwa miesiące przed jego śmiercią. Był już bardzo schorowany, lecz w trakcie rozmowy okazało się, jak bardzo pozostawał młody duchem. Przygotowywał właśnie korektę drugiego wydania swej ostatniej książki.*

Opr. JOANNA KOSMAŁSKA

na podstawie wspomnień dr. BOGDANA GALIŃSKIEGO

Fot. z arch. rodzinnego